

Warszawa, dnia 18 Lutego / 2 Marca 1870 roku.

№ 9. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie—na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie. **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.— **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

POTRZEBA PRACY UMYSŁOWÉJ.

Trzeba się uczyć, już minął wiek złoty.
Krasicki.

Jeszcze wiekopomnéj sławy ksiądz gramatyk Kopczyński powiedział: że ludzie różnią się od zwierząt rozumém i mową. Żeby przeto owa różnica była widoczną, nie zaś teoretyczną tylko i fikcyjną, potrzeba jest, abyśmy się istotnie odznaczali rozumém, — abyśmy częścią naszą duchowo-umysłową, podnieśli się tak wysoko, iżby ona rzeczywiście namaściła nas na królów wszechbytu. I o ile więcéj człowiek kształci swój umysł i serce, o tyle też więcéj różni się od czworonożnych, a nawet i od człowieka. Bo i pomiędzy ludźmi są tacy, o których można powiedzieć: oto *człowiek*, oto *zwierzę*. A różnica powstała tu tylko z odmiennego zbogacenia rozumu i uczucia. Urodzenie, znaczenie, majątek, piękność, siła fizyczna, nie nadają wcale piętna prawdziwego człowieczeństwa; owszem, podobne jednostki, jeśli ich nie uszlachetnią przymioty wychowania, rozumu i serca, stają się społeczeństwu szkodliwsze od samych zwierząt. I tak, indywiduum, szczycące się samym tylko świetnym rodem i familją, wychodzi na próżniaka, pasożyta, na żebraka, wyciągającego delikatną rękę o wsparcie, o pomoc, a wstydzącego się pracować przez źle zrozumianą ambicję i dumne wspomnienia przeszłości; zjada więc chléb, który mu się nie należy, który otarłby łzy niejednemu ubóstwu i nieudanéj nędzy. Ktoś znów naprzykład szczycący się swoim tylko majątkiem i znaczeniem, nie pojmuje wcale że tego majątku powinien użyć na dobre, że społeczność ma prawo domagać się od niego zdania sobie sprawy z powierzonych mu losem bogactw, dostatków i wpływów.—Ani mu to przez myśl nie przejdzie. Pieniądze trwoni na zbytki, sieje dokoła zgorszenie, złe, zaraża swoją atmosferą drugich niebacznych i bezrozumnych, daje najgorszy przykład, a potęgą złota rujnuje nieraz szczęście niewinnych ofiar, burzy spokój i pomyślność niejednéj rodziny. Podobne okazy można śmiało nazwać społecznymi wilkami, lisami i tygrysami.



Stanisław Pilati (do str. 86-éj).

A czémże jest człowiek, chlubiący się samą tylko brutalną siłą fizyczną, dla którego najdosadniejszym argumentem jest prawo pięści, obelgi i bijatyki? który nic sobie nie robi z prawdy, logiki, słuszności i sprawiedliwości, ale sądzi, że wszystko i wszyscy podzielać muszą jego zdanie,

jego zachcianki, fantazje i uprzedzenia. To także zwierzę.

Weźmy nareszcie osobę bez serca i rozumu, ale odznaczającą się pięknością, wdziękami ciała i samymi tylko zewnętrznymi przymiotami. Z początku jakiś czar niewysłowiony, jakiś naturalny pociąg zbliża każdego i porywa do niéj, ale po kilku słowach owłada nas niesmak, rozczarowanie a nawet wstręt. Pokazuje się nawet, że była to tylko koperta, zgrabnie zaadresowana, lecz wewnątrz znajdował się najfatalniejszy list. Z taką wymuskaną lalką nie można o niczém rozsądnie pomówić, bo o niczém nie ma zdrowego wyobrażenia. Widzisz przed sobą ciało, ale nie widzisz objawów mózgu. A ponieważ piękna twarzyczka nie małą jest wędą na zmysły, wystawmy więc sobie, ile podobne istoty wyrządzają społeczeństwu złego, myśląc ciągle tylko o tém, jakby kogoś ułowić, usidlić, zepsuć i do swego błyskotliwego rydwanu zaprządz, niby szaleńca i niewolnika. Są to piękne kotki i pieski pokojowe ale nie prawdziwi ludzie. Z nich powstają w późniejszym czasie, pominąwszy inne fakty, najgorsi mężowie, najgorsze żony, nieuczciwi obywatele i wyrodni rodzice.

Postęp i cywilizacja mają swoje uzasadnione, niezbite niczém wymagania i prawa. Należymy do ludów europejskich najwięcéj oświeconych, żyjemy w dziewiętnastym wieku po Chrystusie, więc nie wolno nam zostawać, jak maruderom, w tyle, ale wraz z innymi musimy iść z pochodnią wiedzy naprzód, pod karą szyderstwa, wyrzutu całéj ludzkości, zapomnienia i zniszczenia. Co uchodziło w IX-tem i X-tem stuleciu, to dzisiaj jest nie do darowania. Dawniéj szlachcic podpisywał się tylko krzyżykiem, i nikt się temu nie dziwił, owszem, uniewinniano go w ten sposób: „bo jako szlachcic, przeto pisać nie umié". Ale dziś, ten jedynie jest rzeczywistym szlachcicem i prawdziwym człowiekiem, kto się osobiście uszlachetni przez umysł, serce i pożyteczną dla ogółu praktykę życia. Dziś przeto, dzięki rozszerzającéj się godności człowieka, syn wyrobnika, rzemieślnika i handlarza, ma też same prawa w świecie co dziecko magnata i pierwszego lepszego barona. Dziś tylko praca, zasługa i ukształcenie podnoszą jednostki na piedestał uznania i powszechnego szacunku. Innego szlachectwa już nie rozumiemy. Pod utratą czci, honoru i aureoli człowieczeństwa, nie wolno nam być ani średniowiecznymi panami, ani też Chińczykami, Patagonami i Hotentotami. *„Trzeba się uczyć, już minął wiek złoty".*

Naukę zaś, czyli ów kapitał na prawdziwego człowieka, różniącego się od zwierząt, daje nam przedewszystkiém zdrowe, zasadne i poczciwe domowe wychowanie, daléj — szkoły, a nareszcie własna ustawiczna praca i książki.

Dla czego jednakże tak mało jest u nas ludzi z istotnym charakterem człowieka, to jest ludzi rzetelnie światłych, znających swoje obowiązki i prawa, specjalnie ukształconych w każdéj gałęzi nauk, oddających społeczeństwu ważne niezaprzeczone usługi? Zdaje mi się, że nie dla czego innego, tylko dla tego, że brak nam jeszcze we wszystkich towarzyskich klasach tego prawdziwego poczucia pracy, które nazywałbym kapłaństwem pracy, a które zaczyna dopiero gdzieniegdzie kiełkować, zmuszone okolicznościami, a przygniatane po dziś dzień nierozsądnemi uprzedzeniami, niedorzecznymi przesądami, źle zrozumianym wstydem, brakiem wreszcie energji i cywilnéj odwagi. Lecz jeśli raz już naprawdę weźmiemy sobie do serca tę maksymę: że poczciwa praca uszlachetnia a lenistwo i głupota hańbi, to mam nadzieję, że w krótce złe się wynagrodzi, a niejeden rozpróżniaczony rezydent i półpanek, wziąwszy się za książkę, za pióro, za młot, kowadło, jedném słowem za pierwszą lepszą deskę ratunku, stanie się pożytecznym człowiekiem społeczeństwa i ozdobi swe czoło jasnym blaskiem nieśmiertelnych głosek: *oto człowiek.* Silna wola wszystko może zrobić.

Są jednak ludzie, którzy odebrali najlepsze domowe wychowanie, którzy chlubnie nawet pokończyli szkoły i obrali sobie jakiś pożyteczny zawód, zatrudnienie czyli stan życia, a pomimo to czegoś im niedostaje, widać w nich brak postępu, zaniedbanie, zacofanie. Obywatel i rolnik uprawia grunt tak, jak uprawiali jego pradziadowie przed trzystu laty; doktór leczy przestarzałymi środkami i medykamentami; rzemieślnik nie stosuje swego rzemiosła do nowych potrzeb, wymagań i ulepszeń, nie zna i nie bada natury materjału, z którym ma do czynienia; nauczyciel używa niewłaściwéj już metody i uczy tak, jak i jego przed wieki uczono; ksiądz, oprócz brewiarza nic więcéj nie widzi i co rok jedne i też same powtarza kazania, słowem, mnóstwo jest takich osobistości, które raz stanąwszy na pewnym szczeblu wiedzy, pomimo że koło nich wszystko postępuje i kształci się, stoją zasklepione skorupą zacofania niby ślimaki, i nie troszczą się wcale o to, co się na świecie dzieje, co dziś potrzeba umieć i znać aby być prawdziwie pożytecznym wśród ludzi.

A wieluż tu jest takich, z którymi spotykamy się w towarzystwie i dziwimy się, że nie posiadają nawet elementarnych zasad matematyki, nauk przyrodzonych, historji, literatury i choćby tylko wyobrażenia o ekonomji społecznéj. Ileż to razy zdarzyło nam się spotkać człowieka, używającego wielkiéj powagi, szacunku i uznania, który rzeczywiście niewart był tego i przez swoją niewiadomość płodził tylko błędy, fałsze i ciemnotę. Ileż to razy pierwszy lepszy młodzik, zuch do tańca i kielicha, swém bezsensowém szczebiotaniem i paplaniną o niczém, zachwyca i w złoty humór wprowadza roje bezmyślnych mam, ciotek i panienek, a zapytany w któréj części świata znajduje się Serbja lub Norwegja, lub nad jaką rzeką leży Kalisz, języka w gębie zapomina. Ileż to razy, czytając ktoś gazetę, nie umié sobie zdać z niéj sprawy, nie umié sobie wytłumaczyć niektórych wyrażeń i imion własnych. A cóż tu dopiero mówić o toku dziejów bieżących, o śledzeniu ruchu piśmiennictwa, przemysłu, wynalazkach, handlu, gospodarstwa, nauk ścisłych i sztuk pięknych, kiedy nie jedna osoba nie pamięta jak dawno widziała się z książką, z pismem jakiemś periodyczném, a dla drugiéj całą wiadomością jest żyd faktor, kelner, pachciarz, złoty ołtarzyk, lub sąsiadka plotkarka.

O czém nareście rozmawiają w większéj części naszych towarzystw i czém się bawią? Boże zmiłuj się! Gawędka idzie o niczém, a na zabicie czasu dosyć zagrać polkę lub walca, żeby wszy-

stko ożywić i wszystkich rozerwać. O rozmowę nie już poważną, ale o poważniejszą przynajmniéj od czynnych komplementów i przestarzałych a niewłaściwych konceptów, trudno, bardzo trudno. Mężczyźni i kobiety nie mają tu sobie nic do wyrzucenia, bo obiedwie strony grzeszą brakiem dojrzalszego na świat zapatrywania się, niedostatkiem nauki—wykształcenia.

Przyczyną tego smutnego stanu jest złe poczucie osobistéj godności, niezrozumienie zadania życia, lekkomyślność i zaniedbanie się.

Opuściwszy ławy szkolne i wyszedłszy z rąk nauczycieli, zdaje się niektórym, że już są skończonymi ludźmi, że już im nic więcéj nie potrzeba jak tylko pieniędzy, żony i domu i wiecznego odpoczynku na łonie prózniactwa przy stole, zastawionym potrawami i napojami. Co się stanie z ich sercem i głową, oto się nie troszczą, bo pocóż się troszczyć, kiedy już złożyli egzamin i, co najważniejsza, mają patent w ręku? Aliści pomimo egzaminu, pomimo patentu, rozum, niepodsycany umysłową strawą, tępieje, nabyte wiadomości nikną, nauka nieodświeżana dalszą pracą i czytaniem pożytecznych dzieł, ulatnia się, w głowie robią się pustki i chociaż ciało tężeje i zaokrągla się, duch przecież słabnie, wiedza odbiega, aż nakoniec nie wiadomo co robić, co myśleć, jak sądzić o rzeczach i wraca się ten sam stan ciemnoty, jaki był przed rozpoczęciem nauk, jednêm słowem, z człowieka robi się znów zwierzę.

Lekarstwem przeciwko téj strasznéj chorobie, jest nieustanna nad sobą umysłowa praca, prawidłowe myślenie, czytanie pożytecznych książek i pism perjodycznych.

Nikt nie powinien poprzestawać na têm, czego się w szkołach nauczył, bo inaczéj i to co umiał zapomni i w czasie, kiedy wiedza, oświata i postęp wszystkich umiejętności idą naprzód, on stanie się zacofanym, wstecznym, niezdolnym i nie mogącym oddychać życiem, które około niego pulsuje. Potrzeba się więc kształcić ciągle, o ile nam tylko do tego pozwoli czas i zatrudnienia obowiązkowe. Ukształcenie rozumu i serca, różniąc nas od zwierząt, a namaszczając godnością prawdziwego człowieka, powinno nam być w téj mierze bodźcem i najlepszą zachętą. Porzućmy więc chwile niepotrzebnie tracone w handlach win, w bawarjach, na kartach, piknikach, balikach i tym podobnych niewłaściwych rozrywkach, a trzymając się książki, rozsądnych ludzi i przewodniczących pism czasowych, wnet sami poznamy swoją własną wartość, zdobędziemy sobie szacunek, poważanie; rozmowy nasze i towarzystwa ożywią się, uzacnią i urozmaicą; nie będziemy się skarżyć na nudy, czczość i niesmak pomiędzy ludźmi; poznamy to, co nam jest potrzebne, co jest piękne, szczytne i wzniosłe, dowiemy się wielu zajmujących rzeczy, nie będą nam obce sprawy postępu i ogólnego dobrobytu, i staniemy na równi z całym ucywilizowanym światem, którego jesteśmy członkami, wśród którego wzrastamy, żyjemy i oddychamy. Wtedy będziemy prawdziwymi, pojmującymi swoje posłannictwo, obywatelami, gospodarzami, urzędnikami, nauczycielami, rzemieślnikami i kapłanami.

Małéj do tego potrzeba rzeczy. Ileż to razy tracimy niepotrzebnie grosz na wino, wódkę i piwo, zbytkowne ubiory, niepotrzebne przejażdżki, bezsensowe effekty i parady. Ileż to razy krwawo lub łatwo zapracowany pieniądz rzucamy marnie w błoto nieporządnego życia lub niewłaściwych wydatków. Oszczędzajmy go. Kupujmy za niego wychodzące dzieła, prenumerujmy codzienne i tygodniowe pisma a hojnie się nam odpłacą wiedzą, któréj promienie uszlachetnią nam lica, uprzyjemnią pochmurne niejednokrotnie chwile i godziny. Dla czego literatura u nas tak mało daje znaków życia? Dla czego co raz mniéj widzimy poważnych książek i wydań? Dla tego, że ogół mało się nią zajmuje, że ogół jest nieukształcony lub lekko tylko ukształcony. Otrząśnijmy się więc raz z téj apatji do pracy i książki, poznajmy nakoniec to, co nam przystoi i do czego powołani jesteśmy, a żałować tego nie będziemy wcale i zrobiemy dwa wielkie dobre uczynki: podniesiemy się umysłowo jak prawdziwi, ceniący naukę i wiedzę, ludzie—i podniesiemy byt piśmiennictwa naszego. Zadanie najszlachetniejsze, najzacniejsze; — chciéjmy tylko, a dobrą wolą wszystkiego dokażemy. Należy być *ludźmi* i pokazać, *że uczyć się trzeba, bo minął wiek złoty.*

Ksawery Drużba.

NIE MA ZŁÉJ DROGI DO SWOJÉJ NIEBOGI.

I.

Widzisz ten wzgórek przed sobą daleko,
Gdzie w cieniu drzewek na kwiatów pościeli,
Z lewéj od lasku, za krzyżem, nad rzeką,
Dach się rumieni i dworek się bieli?
Dawnoć to, dawno! przed laty! przed laty!
Gdym miał czuprynę i czarną i gęstą,
Z téj saméj wioski, z pod dachu téj chaty,
Ja tam biegałem i żwawo i często.
Tam pokochałem dzieweńkę przecudną,
A pokochałem po Bogu, po niebie,
Serce za serce pozyskać nie trudno;
Ale je trudniéj oderwać od siebie...
To też biegałem...a kto dziś wypowie,
Przez jakie ciernie, pokrzywy i głogi?
Cóż?...młodość! życie! znasz stare przysłowie:
„Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!"

II.

Ten dwór, z nim wioska i las i bagniska,
Był mieniem Skówki, z pradziadów szlachcica;
Skówka był skówką nietylko z nazwiska,
Skąpy, zawadjak, pochmurnego lica,
Prócz mego ojca z wszystkimi darł koty,
Z ojcem szło jakoś, choć w zdaniu był prosty,
Choć często Skówkę brał w tęgie obroty:
O szkody, groble, przekopy czy mosty.
Raz—jakby dzisiaj, mam w żywéj pamięci,
Stary jął gderać:—„Skóweńko! sąsiedzie!
Naprawże mostek, gach karku nadkręci,
Nim do twéj Kachny w konkury dojedzie!"
„Co? gach!—krzyknąłem—a niech że most zgnije!
Niech z gachem runie stu djabłom na rogi!
Mnie choć do Kasi przez błoto po szyję,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!"

III.

—A waść co śpiewasz?! także to ci—panie?"
Zawołał rodzic: „już myszka się tropi?
Pod nosem mleko a we łbie kochanie?
Toś mi się wyrwał jak Filip z konopi!
Słyszysz sąsiedzie! zaleca się Kachnie.
Ale silentium! nauczę ja smyka;

No proszę, urwis! elementą pachnie,
A już ci panie w amory pomyka!
I gotów jeszcze... tfy! odpuść mi Boże!
Gotów ci—panie..." Tu przestał perory;
Jam spuścił głowę, słuchałem w pokorze,
Żałując, żem był w wyznaniu za skory.
A stary znowu: „Wiesz Skówko, pozwolę:
Zastaw żelaza, chwycić lisa za nogi!..."
A Skówka na to: „Czy lis, czy pacholę,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!"

IV.

—Na co żelaza? pstro w głowie Waszeci!
Kto zmusi djabła odmawiać pacierze?
Kto zdmuchnie słońce gdy w górze zaświeci,
Ten chyba dwojga kochanków ustrzeże.
Ja ci coś szepnę!..." I ujął rodzica,
Odwiódł na stronę i jakoś po chwili,
Splotły się dłonie, uśmiechły się lica;
Ot i małżeństwo jak raz ułożyli.
„Ale ci—panie—rzekł ojciec—dla pró- [by,
Ślub się odbędzie za pięć lat dopiero;
Jeśli nie zerwie ni luba, ni luby,
To się ci—panie acaństwo pobiorą."
Do śmierci ją kochać przysiągłem ja [wiernie,
Lecz pięć lat próby, to wyrok za srogi!
Ha! trudna rada, przez boleść przez [ciernie,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

V.

Śliczna też była ta moja Kasieńka,
Wianek powabów, słodyczy, miłości;
Cnót staropolskich nawykłą z maleńka,
Błogosławili i mądrzy i prości.
Ba! i jéj rozum jak serce był w cenie:
Zaniemógł kmiotek, niewiasta, sierota,
Biegła z pomocą, a jedno wejrzenie
Zdało się ulgę prowadzić we wrota.
To też z jéj ocząt, z jéj słów pełnych [wiary,
Wróżyłem przyszłość uroczą jak niebo.
Widzieć ją codzień, snuć złote zamiary
Stało się życia mojego potrzebą.
Gdy myśl—bywało—nadzieją rozpie- [szczę,
Nie dbam gdzie, przez co, jak biegnę [w jéj progi?
Grudaczy błoto, śnieżyska czy deszcze,—
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

VI.

Przelotne gwiazdki! złudzenia młodzieńcze!
Błędne ogniki w życia poniewierce!
Gdym śnił, że wami tęsknotę uwieńczę,
Ból mię przebudził i rozdarł mi serce!
Już z czasu próby zostało nie wiele,—
Gdy dnia pewnego mój ojciec wbiegł żwawo,
Wypił dzban miodu, przypiął karabelę,
I ruszył—nie wiem za jaką tam sprawą.
Wróciwszy późno, rzekł tylko: —ci—panie,
„Z Skówkami kwita, twój affekt nicpotém;
Jeśli twa noga w ich domu postanie,
Przez sto batogów przepędzę z powrotem!"
O Chryste Jezu! o Stwórco jedyny!
Zkądże tak nagła nienawiść, batogi?
Sto... niech przez tysiąc! by dociec przyczyny,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

VII.

Tedy wieczorem, jak prędko w pościeli
Mój pater złożył głowę gospodarczą;
Widząc że w domu już wszyscy posnęli,
Nuż ja do Kachny co nogi wystarczą!
Od wrót daleko spotkałem Magdusię,
Co mię czekała umyślnie wysłana:
„Cyt panku—rzecze—odejdźwa jak trusie,
Bo w naszym dworze dziś piekło od rana!
Panna w altance na małéj wysepce;
Ale trza do niéj po kładce od lasku,
Tu mogą spostrzedz domowi pochlebce,
A i kundysy nie puszczą bez wrzasku."
Więc ja na kładkę, a serce mi bije,
A kładka wązka, z pośpiechu drzą nogi
Tuż, tuż przy brzegu bęc! w wodę po [szyję,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

VIII.

Biedna Kasieńka z boleścią i łkaniem,
Upadła w moje przemokłe objęcia,
„Wiesz Stachu —rzecze—wiesz? my [się rozstaniem
Już tatuś ciebie nie życzy za zięcia!
„Czemu? — spytałem, —„Ba czemu! [odpowie:
Trudnoć z wszystkiemi zadzierać na [sucho,
Dzisiaj się o coś zwaśnili ojcowie,
Twój wyzwał mego i obciął mu ucho."
„Szlachcic bez ucha, to coś niżéj zera!"
Tak wrzeszczał tatuś;—oj! biadaż nam [biada!
Więc zwieźli z miasta Jankiela fel- [czera,
Co zeszył ucho i maścią okłada.
Lecz co my winni? Kto kocha, czyż [zbrodzień?"
„Cyt Kasiu!—rzekłem, nim się zgodzą [wrogi,
Choćby pod ziemią przekopać się co- [dzień,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!"

IX.

Toż Bóg mi świadkiem com użył obro- [tów,
Jakie zmyślałem wykręty, sposoby,
Na com się ważył, na ilem był gotów,
Byle ją widzieć od doby do doby.
Rodzic mię śledził po cichu, kryjomo,
Lecz gdy on traktem, ja lasem; gdy lasem,
Ja przez bagniska drożyną wiadomą;
Nim stary doszedł, jam wrócił tymczasem.
A już dalipan spryt miałem nie lada:
Tom sobie kmiecéj pożyczał sukmany,
Tom w wędrownego przedzierżgał się dziada,
Tom gwarzył z Kachną za żydka przebrany.
Gdy zmierzchem żebrak nadchodził wybladły.
Kasieńka drżała z radości i trwogi;
Nieraz kundysy z zębami napadły;
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

X.

Ale u dzbana urwało się ucho...
Raz, biegnąc mrokiem w Szmulowym chałacie,

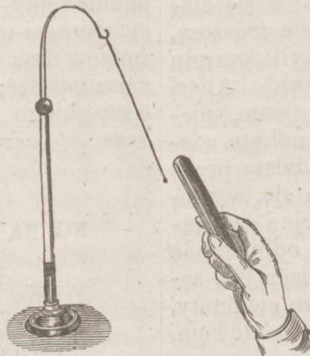


Fig. I. Wahadło elektryczne, (Str. 88-a, szp. I-a).



Przyrząd wykazujący zbieranie się elektryczności na powierzchni, (Str. 89-a).

Bach! nos w nos z ojcem...aj myślę,— tu krucho!
Chcę w bok, on za kark:—„ci—panie! stój bracie!
A gdzież to żydku cichaczem tą drogą?
Nie masz to traktu? znać cel twój zawiły...
Toś chyba złodziéj! ci—panie psia nogo!"
I nuż bizunem po plecach co siły.
Ja w krzyk, on niby nie poznał mię z mowy;
Bijąc zapędził gdzie śpią domownicy.
Tam dawszy w rękę pół świeczki łojowéj,
Zamknął jak mówił „na szabas" w piwnicy.
Źle! co tu począć? i ból mi dokucza,
I strach o Kasię!... oh losie mój srogi!
Jak się wydostać? choć dziurką od klucza,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

XI.

Jak długom siedział i jak niewygodnie,
Samo wspomnienie po sercu mię bodzie;
Narachowałem trzy całe tygodnie.
Na pęku słomy, o chlebie i wodzie:
Ale to fracha! najgorzéj kłopota
Co Kasia powié?.... żem zdradził ją może?
A mnie tymczasem zabija tęsknota
W ciemnéj piwnicy w Szmulowym ubiorze.
Nie; tego nadto... nuż orać po ścianie!



Woreczek muślinowy do wykazywania zbierania się elektryczności na powierzchni, (Str. 89-a).

Wyrwałem cegłę, gruz sypnął za cegłą,
Hajże do pracy, dopóki sił stanie!
Ot i światełko do lochu zabiegło!
Lecz otwór mały, a za nim pokrzywy,
Pies chyba tędy uciekałby z trwogi.....
Po ciężkim trudzie wylazłem w pół żywy....
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi.

XII.

W chwilę zmieniwszy kapotę na własną,
Prosto do dworka zapędzam się śmiele.
Patrzę z daleka, aj! w oknach coś jaśno....
Ludek się krząta.... tam chyba wesele!
Chyba gachowi niebogę wydano,
Ale się krótko pociechą napieści!....
Wpadam.... cóż widzę?.... czeladkę spłakaną
Obok panienki przy łożu boleści!
Gdy mnie spostrzegła. „To Stach mój! zawoła:
„Czy ja cię we śnie oglądam mój miły?....
Czy w twéj postaci Bóg przysłał anioła,
Aby mi wrócić i życie i siły?!....
Ukląkłem przy niéj: „Kasieńku! tyś moją,
Bóg nam pomoże, zaświta los błogi,
Zdepczę zawady co w drodze nam stoją,
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!"

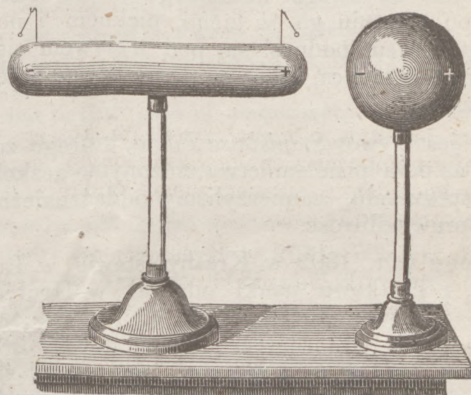
XIII.

I już nie bacząc na gniewy, na kłótnie,
I dni i noce spędzałem przy choréj,
Rodzic mię ścigać zaprzestał okrutnie,
I Skówka wzbraniać niebardzo był skory.
Ale się próżno krzątali najszczersi,
Z sercem nie igrać, uczucie nie skała....
Kasia mi głowę raz wsparła na piersi,
I czysta dusza do nieba wzleciała....
—„Boże!!" krzyknąłem, krwią oko nabrzękło,
Skronie jak gdyby osypał zarzewiem,
Padłem bez zmysłów;—jak serce nie pękło,
Jakem ją przeżył?.... wié Pan Bóg—ja nie wiem!
Nazajutrz z garstką poczciwych oraczy,
Co doznawali braterskiéj wspomogi,
Szedłem za trumną we łzach i rozpaczy....
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

XIV

Wkrótce się wszystko, prócz żalu, skończyło,
Żalu, co łzami zajaśniał nad stratą!
Gdy świat mój niknął pod ziemią, mogiłą,
Ojcowie z bólem patrzyli się na to....,
Obaj milczeli.... aż na grób dziecięcia





Elektryzowanie przez indukcję, (Str. 89-a).

Garść czarnéj ziemi ostatnia poleci,
Pobiegli razem w wzajemne objęcia,
I zapłakali dwaj starce jak dzieci.
I mnie to ulgę przyniosło nie małą!
Z ich pojednania zyskałem choć tyle,
Że gdy mi szczęście wydartém zostało,
Mogłem sie modlić na drogiéj mogile.
Toż odtąd co dzień, czy gruda, czy deszcze,
Najmiléj dla mnie w cmentarne biedz progi,
Stare nożyska słuchają mnie jeszcze....
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!

XV.

Dawno to, dawno! pomarli ojcowie,
I ból przytępiał;—wszystko czas pokona!
Starość siwizną osiadła na głowie,
Lecz młodych wspomnień nie wydrze nic z łona.
Nieraz swatając, mówili znajomi:
„Posag nie marny, dziewucha jak kwiecie!"
Ale fortura nie wszystkich złakomi,
A drugiéj Kasi nie znaleść na świecie!
I samotnikiem zostałem na zawsze.
Ludzie się śmieli, a potém przestali....
Może tam.... Stwórca da życie łaskawsze,
Bo tu na ziemi.... Ot! byle iść daléj!...

Tutaj, gdy świętéj przyzywam opieki,
Mówię: „Pędź Panie przez ciernie, przez głogi,
Byleś tam z szczęściem połączył na wieki!
Nie ma złéj drogi do swojéj niebogi!"

Jan Chęciński.

STANISŁAW PILAT.

Życie, którego kołem opasani są ludzie nauki, czynniki oświaty i postępu, téj wielkiéj rodziny świata, podobne jest do ogromnéj harmonji tonów, w któréj pojedyncze dźwięki przebrzmiewają w rozległéj przestrzeni miejsca i rozciągłości czasu. Zasługa, cnota i nauka, nie w tém życiu dostępują téj chwały, jaka im się od współczesnych, lub od wdzięcznéj należy potomności. Jest to gra może najnieszczęśliwsza, w któréj ci często kroć przegrywają, co do wygranéj największe mieliby prawo; a los ten spotyka po największéj części owych cichych pracowników na polu piśmiennictwa, którzy za życia nie gonią za chwałą, poniekąd nagle i łatwo nabyć się dającą. Nie stałą też jest podobna chluba i maleje ona z biegiem czasu; gdy tymczasem prawdziwa zasługa, podobna jest do owego nasiennego ziarna, które dopiero po złożeniu go w ziemi, pięknem i pożytecznem życiem podnosi się pod wpływem ciepłych promieni słońca, które go w uroczyste przeobraża szaty.

Takim jest żywot *Stanisława Pilata,* którego zasługom, na polu piśmiennictwa złożonym, aczkolwiek w spóźnieniu, zamierzyliśmy oddać należną cześć i sprawiedliwość.

Urodzony w r. 1802 w Krasnymstawie w Lubelskiém, początkowe nauki odebrał w Hrubieszowie, a pragnąc kształcić się wyżéj, przybył równocześnie z Wincentym Polem do Lwowa, z którym zawiązał przyjaźń dozgonną, przyjaźń, któréj początek pierwszym promykiem uczucia wznieca się w zaraniu młodości i nieprzerwaną smugą stałéj serdeczności przez całe życie jaśniejąc, zmierzcha dopiero aż w grobie. Taka przyjaźń zawiązuje się pomiędzy spokrewnionemi duszami najczęściéj na ławkach szkolnych.

Pora, w któréj St. Pilat młodzieńczém swém uczuciem rozpatrywał się po świecie naukowym, była to właśnie owa wybitna w dziejach literatury krajowéj, kiedy w Warszawie rozpoczęła się zacięta walka klassyków z romantykami.

Pol i Pilat zaciągnąwszy się pod sztandar młodzieży poważnéj, pojmującéj życie i cel jego ze strony pożytku a nie czczéj próżności, szli za popędem własnego natchnienia i powołania, do jakich z natury swego usposobienia odebrali namaszczenie. Niewyczekując ostatecznego rezultatu wszczętéj szermierki literackiéj, pracowali na własny rachunek i odpowiedzialność, każdy swoim talentem z korzyścią dla dobra ogółu. Kiedy pierwszy wił sobie wieniec sławy w dziedzinie poezyi, to drugi oddawał się z całą gorliwością i powodzeniem badaniom filozoficznym, zgłębiając zasady i stanowisko sztuki; przeważnie poświęcał się z całém zamiłowaniém najpiękniejszéj części filozofji t. j. estetyce, a obok niéj obrał sobie jeden z najtrudniejszych zawodów na polu praktycznéj nauki t. j. pedagogję.

Wkrótce po ukończonych kursach przyjął Pilat posadę nauczyciela u księcia Wł. Sanguszki w Gumniskach, a następnie odbył ze swoim uczniem kilkoletnią podróż za granicę. Wzbogaciwszy wiedzę swą tém pierwszém doświadczeniem, pragnął téż owoce jego podać do spożytkowania swoim współziomkom. Ośmielił się więc wystąpić na najniebezpieczniejszém polu, mianowicie na polu krytyki; a wiadomo, że podobna szermierka, nawet po osiągniętém zwycięztwie, nie darzy bohatéra spokojem, lecz tém więcéj przysparza mu nieprzyjaciół. A Pilat był surowym i nieubłaganym w swych sądach nawet dla swoich najbliższych przyjaciół, jeżeli z tymi przypadło rozprawiać się publicznie. Nazywano go téż prawdziwym Piłatem który nie cofa swego raz napisanego zdania: *Com napisał, tom napisał,* było i dla niego tém przekonaniem, z którego liczył się tylko przed sądem własnego sumienia.

Pierwszą tedy tego rodzaju pracą Pilata była ostra krytyka Grammatyki języka polskiego Deszkiewicza, umieszczając przytém swoje rozbiory i pomysły o języku polskim w piśmie zbiorowém, wychodzącém podówczas w Bibliotece Ossolińskich, a redagowaném przez W. Pola. Zaprzestawszy wszakże wkrótce badań językowych, przeniósł się Pilat ze swojemi studjami na pole literatury powszechnéj i estetyki.

Próbował także sił swoich w najtrudniejszym zawodzie piśmiennictwa, w dramaturgji, napisawszy wierszem tragedję p. t.: *Strusiowie,* a w parę lat późniéj dramat p. t.: *Zofja Morsztynówna.*

Po ukończeniu wychowania młodego ks. Sanguszki, przeniósł się już na stały pobyt do Lwowa, a uzyskawszy w Krakowie stopień naukowy doktora filozofji, otworzył u siebie prywatny zakład wychowawczy dla młodzieży męzkiéj, który takiéj nabył wziętości, iż najpierwsze rodziny ubiegały się o pomieszczenie w nim swoich dzieci.

Zakład ten, tak pod względem urządzenia, surowego rygoru, jako też rozkładu i gruntowności udzielanych nauk, uważany był aż do śmierci Pilata, słusznie za jeden z najpożyteczniejszych we Lwowie.

Obok tego był dom Pilata we Lwowie punktem zebrania wszelkich znakomitości, a mianowicie ludzi wiedzy, nauki i pracy. Professorowie, doktorowie medycyny i prawa, spieszyli w jego progi, bo szczera gościnność i światły umysł gospodarza, otwierał swym gościom pole do najprzyjemniejszych rozrywek, zdrowych rozpraw, serdecznych i naukowych pogadanek; a urok takich zabaw, podnosił Pilat wrodzonemi sobie zaletami miłego humoru i wymowy, którémi celował. Ktokolwiek z obcych pragnął zawiązania bliższych stosunków lub znajomości z tamtejszymi uczonymi i literatami, znalazł w domu Pilata najlepszą do tego sposobność i życzliwe pośrednictwo w spajaniu ze sobą tych ogniw naukowego świata. Głównem zajęciem, jak już nadmieniliśmy, życia literackiego Pilata, była estetyka i krytyka. Wszystkie pisma ówczesne w Galicyi zasilał ten niezmordowany pracownik swém współuczestnictwem. W założonym przez Karola Szajnochę w r. 1852 Dzienniku literackim, przyjął Pilat dział krytyki teatralnéj, która przeważnie wpłynęła na ten roz.

wój i świetność sztuki dramatycznéj, jaka pod światłém i gorliwém przewodnictwem J. N. Kamińskiego doszła do wysokiego stopnia doskonałości, mianowicie w takich artystach i artystkach jak Nowakowski, Smochowski, Benza, Staszewska i Kamińska i wielu innych. To też ówczesna scena polska, tak pod względem powodzenia, jako też wyrobionego smaku w publiczności, stała pod czujnym dozorem krytyki Pilata i Leszka Borkowskiego, można śmiało powiedzieć, u szczytu swego przeznaczenia.

Umieścił też między wieloma swojemi pracami w rzeczonym Dzienniku ważną rozprawę p. t.: *Wycieczka w dziedzinę historji i literatury* a w Bibliotece Ossolińskich *Studja estetyczne*, wyjątek z obszerniejszéj pracy w tym przedmiocie napisanéj.

Jako autor dramatyczny, niebył tak szczęśliwym jak w sferze studjów i rozpraw filozoficznych. Brak oryginalności i charakterystycznych pomysłów, niepozwoliły mu na tém polu dojść do rozgłosu donośniejszego, sztukom swoim zapewnić powodzenie i ustalić wziętość. Oprócz Strusiów, i Zofji Morsztynównéj, napisał też libretto do operetki p. t.: *Młynarz i Kowal*, która w swoim czasie miłego doznała przyjęcia u publiczności lwowskiéj.

Oprócz tego zajmował się Pilat gorliwie uporządkowaniém archiwum miasta Lwowa, będącego podówczas w wielkiém zaniedbaniu; i w tym celu skłonił radę miejską do powierzenia tak znacznéj czynności Wagilewiczowi, pod nadzorem Kommissji znawców, w téj mierze przez radę miejską ustanowionéj, w skład której to komissji wchodził on sam i A. Bielowski.

Niedoczekał się wszakże ukończenia tego rozpoczętego dzieła, bowiem śmierć przecięła nagle jego dalsze prace i pasmo jego wszechstronnie pożytecznego życia.

Umarł tknięty apopleksją w Niemirowie, w obwodzie Żółkiewskim 5 mil od Lwowa, dnia 13 Sierpnia 1866 r.

Z prac swych literackich ukończonych pozostawił Pilat: *Pamiętniki* tudzież *Teorję wymowy i literatury*, w rękopiśmie przygotowanym do druku, a oczekującym dotąd na chętnego nakładcę.

Krótki ten rys życia St. Pilata jest dowodem, że uposażenie natury, wsparte silną wolą i pracą, wydać musi zbawienny plon dla współziomków, a w wyrobieniu się własném i w spełnieniu obowiązku, spoczywa niezatarta nagroda, zapewniająca sumiennemu pracownikowi kapłaństwo ducha i pamięć wdzięcznéj potomności któréj dobrą wolą i czynem się zasłużył. *L. F.*

Elektryczność i jéj zjawiska w naturze.

I.

I oto bierzemy za przedmiot jeden z potężnych działaczów przyrody [1]), czynnik, napotykany na każdym kroku, a jednak dotąd jeszcze ostatecznie niezbadany—niepojęty. Bo natura ma swoje tajniki—osłonione mgłą nieprzejrzaną; — ma niedocieczone ludzkim duchem siły, niepoścignięte zmysłem ni myślą przejawy, — a ile pojedynczych sił i składowych elementów jéj bezmierną całość stanowi, tyle przedmiotów badania — tyle materjałów do zbogacenia już i tak obfitéj wiedzy skarbnicy. Duch ludzki sili się na nowe wynalazki, zdobywa krwawym trudem fakt po fakcie, raz orlim lotem — to znów wolnym, cierpliwym żółwia krokiem posuwa się naprzód i naprzód. Co było ciemném, staje się jasném, co niezbadaném—zrozumiałém; prawda coraz świetlejszą przywdziewa tunikę i nowe drogi postępu stają otworem i nowe myśli, nowe idee błyskiem jutrzenki witają wstający z pomroki światła poranek.

Wybaczcie mi Szanowni Czytelnicy te kilka myśli, które się na wstępie wyrwały—mam mówić o elektryczności —a więc naprzód określić czém ona jest?—jaka nią powoduje przyczyna? Téj definicji nie postawię na początku, ale trzymając się zasady,—że przykład lepiéj od rozumowań objaśnia — przykłady zjawisk elektryczności przytoczę.

Jeżeli potrzeć bursztyn o sukienny lub kortowy rękaw swego surduta i przybliżyć do kawałeczka bibułki—to ona zostanie przyciągniętą; —przytrzymany, po pewnym czasie następnie odpada, a powtórzywszy potarcie bursztynu—po raz drugi, takież same zjawisko nastąpi.

Tak samo szkło, pocierane i zbliżone do zdziebełka słomy, zachowa się podobnież jak bursztyn i przytrzyma czas jakiś słomkę; kawałek laku potarty, także przyciągnie zdziebełko.

Cóż to jest? dawniéj posądzonoby o zmowę z nieczystym duchem, o stosunki z czarodziejami—lub nareszcie o sekret posiadania czarnéj, zielonéj lub czerwonéj magji; dziś to zjawisko tłomaczymy sobie, dzięki nauce, inaczéj. Powiadamy, że to jest działanie *elektryczności*. Lak, szkło, bursztyn itd.—składają się z bardzo drobnych cząsteczek. Że tak jest, najlepszy dowód, że je sproszkować można nawet w moździerzu—ale ja tu mówię o takich cząsteczkach maleńkich, jakie sobie tylko myślą wyobrazić można—o cząsteczkach niepodzielnych, przez najlepszy niedojrzanych mikroskop. Otóż takie cząsteczki ciał, mogą być rozmaitemi sposobami wprawione w osobliwsze stany czynności, objawiające się właściwém przyciąganiem i odpychaniem, które z oddalenia na inne ciała wywierają. Lak niepotarty, nie przyciągnie papierka—równie jak szkło i bursztyn—dopiero owo potarcie daje mu tę własność. Nie myślmy jednak, żeby tylko lak, szkło i bursztyn miały szczególny przywilej posiadania elektryczności;—zobaczymy daléj, że ona się wszędzie znajduje. Nie myślmy również, żeby jéj przedtém w laku nie było—owszem, ona istniała ukryta — zobojętniona, tak samo jak ręka leżąca w spokoju, a mimo to mogąca w danym razie najrozmaitsze wykonywać ruchy.

Dla zbadania lepszego natury elektryczności, przeprowadźmy szereg doświadczeń—a każde nas czegoś nauczy.

Bierzemy grubą laskę lub rurkę szklanną, pocieramy ją w jednym końcu suknem, materją jedwabną lub miękką skórką.

Na stół sypiemy trochę trocin lub pierza i przybliżamy potartą laskę. Laska przyciąga trociny—po chwili one odpadają—przysunąwszy laskę znów zostaną przyciągnięte. Przy mocném pocieraniu laski, osobliwie proszkiem złożonym z 1 części cyny—1-éj cynku i 2-ch części rtęci (merkurjuszu), słychać osobliwszy rodzaj trzeszczenia, gdyby to,

[1]) Uważamy za rzecz stósowną nadmienić, że o ile przedmiot tak ważny a ścisły pod względem nauki jak elektryczność, dał się w popularny sposób traktować, o tyle „Opiekun Domowy" jeszcze w 1867-m roku starał się temu zadość uczynić, zamieszczając szereg artykułów, kilkunastoma drzeworytami przyozdobionych, a napisany przez nieodżałowanéj pamięci zmarłego w tymże roku Członka Komitetu Redakcji, *Mścisława Kamińskiego.* Praca ta, mająca na względzie głównie zastósowanie elektryczności w różnych zawodach życia spółecznego, musiała mieć wartość rzetelną, kiedy przełożona z „*Opiekuna Domowego*" na język ruski, zamieszczoną została w Petersburgskiéj „*Illustrowanéj Gazecie.*" (*Przypisek Redakcji*).

było w ciemnym pokoju, zobaczylibyśmy drobne iskierki, wypadające z trzaskiem, zwłaszcza przy dotknięciu palcem. Gdy pocieranie trwa czas dłuższy, daje się czuć w okół właściwy zapach, jakoby fosforowy. Zjawiska takie obserwowano najpierw na bursztynie—a że on zwie się po grecku *elektron*, więc weszło w zwyczaj nazywać je zjawiskami *elektrycznemi*, a ciała okazujące takie zjawiska, *ciałami naelektryzowanemi*. Widzimy, że tutaj zachodzą dwie działalności, to jest przyciąganie i odpychanie. Są to objawy *sił elektrycznych*. Siły te mogą być albo bardzo wielkie, albo też nadzwyczaj małe. Dla ocenienia—dla wykazania tych ostatnich, fizyka posiada odpowiednie przyrządy, —zwane *elektroskopami*. Najprostszym *elektroskopem* jest *wahadło elektryczne*—czyli kulka z rdzenia bzu, wisząca na cienkiéj niteczce ze lnu lub konopi, patrz drzeworyt *Fig. 1-a*, lub też cienki drucik mosiężny, zakończony metalowemi gałeczkami — i umieszczony na pionowéj podstawce, zakończonéj sztyfcikiem z agatu zupełnie tak, jak drąg zwykłéj ważki.—Chcąc się przekonać czy ciało jest naelektryzowane—dosyć przysunąć je do gałeczki bzowéj — skoro ją przyciągnie, jest elektryczność, w przeciwnym razie—nie ma jéj. Postawmy sobie pytanie—czy też takie ciało naelektryzowane, może téj własności swojéj innym ciałom udzielać—ciałom, które jéj nie posiadają? Może—odpowiadamy z wszelką pewnością,—doświadczenie tak wykazuje. Jeżeli do naelektryzowanéj laski szklannéj — kawałka laku lub bursztynu dotkniemy się palcem — zabierzemy jego elektryczność. Toż samo się stanie gdy go dotkniemy żelaznym lub miedzianym prętem itp. Ale tu się nowe nasuwa pytanie, czy wszystkie ciała równie łatwo przechodzą w stan elektryczny, czy tu są jakie różnice, stopniowania, i tak daléj—czy te ciała, nabywszy elektryczności, równie łatwo ją oddają drugim ciałom?

Otóż właśnie każde ciało stawia owemu przejściu elektryczności pewien opór, mniejszy lub większy, stósownie do natury tego ciała—do układu składających go cząsteczek. Opór taki nazywa się przewodnictwem. Szkło np. można naelektryzować trzymając w ręce—metale dopiero wtedy, kiedy obwiniemy dłoń materją jedwabną—lub też kawałek metalu obsadzimy w trzonek szklanny lub żywiczny. A dla czegóż to tak? Dla tego właśnie—że elektryczność w takich ciałach jak szkło, zatrzymuje się w tych miejscach, w których została wzbudzoną, a nie rozchodzi się na części przyległe—w takich zaś ciałach jak żelazo, rozszerza się na całą powierzchnię.

Pierwsze zowią się złymi, drugie dobrymi przewodnikami elektryczności.

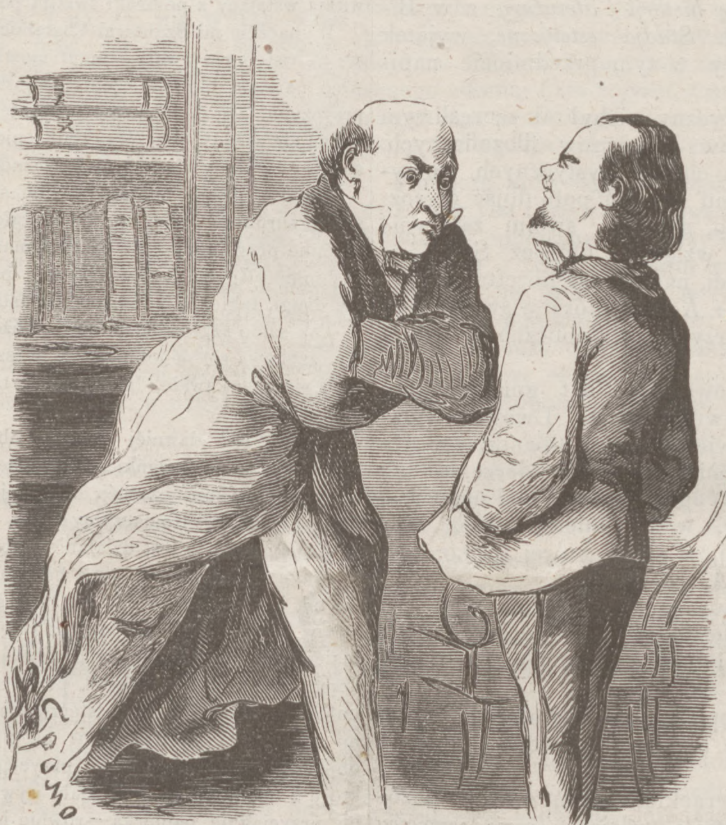
Dla lepszego zrozumienia weźmy taki przykład. Zapalam zapałkę — ona płonie w jednym końcu—a ja trzymam swobodnie za drugi—nic mię nie parzy. Ale rzucam zapałkę i biorę drut — rozgrzewam go silnie — i czuję, że w palce piecze. Otóż z tego wynoszę taką naukę—że po drewienku zapałki nie rozchodzi się ciepło, ale koncentruje w jedném miejscu, zaś podrucie przeciwnie; że zapałka jest złym przewodnikiem, a drut dobrym. Porównawszy to z poprzednim przykładem, zrozumiemy, co jest przewodnictwo.

Wełna, szkło, żywica, lak, siarka, bursztyn, kauczuk, jedwab', suche powietrze są złymi przewodnikami. Metale, korek, grafit, węgiel wypalony,—kwasy płynne, solne roztwory, para wodna, ciała roślinne i zwierzęce, oraz wilgotne powietrze, są dobrymi przewodnikami. Jednak są pewne wpływy zmieniające przewodnictwo, i tak: szkło rozgrzane staje się dobrym, suchy lód złym przewodnikiem.

Ponieważ kula ziemska zawiera w sobie ogromną massę dobrych przewodników elektryczności—dla tego, połączywszy jakikolwiek dobry przewodnik naelektryzowany z ziemią, ona tę elektryczność zabierze. Tak samo chcąc naelektryzować człowieka, należy odosobnić go od wpływu ziemi—t. j. postawić na stołeczku o szklannych nogach. Po szkle elektryczność nie przejdzie i zobaczymy ze zdziwieniem, jak włosy na głowie staną dębem i za dotknięciem wyleci iskra światła, silnie kłująca, w palec. Takie odosobnianie nazywa się *izolowaniem*, a złe przewodniki do niego

☛ Patrz Dodatek.

HUMORESKA.



(Rano u Wydawcy).

WALENTY. Wiesz co? zwaryjuję...... wierzę, wierzę!
MARJAN. Komu—w co,—dla czego?
WALENTY. Niewiesz ciasna głowo—wierzę w duchy na świecie.... w brew twierdzeniu *Opiekuna Domowego*.
MARJAN. Powtarzam komu—dla czego?
WALENTY. Dziwnyś—okładce Zeszytu XI, Serji II-éj *„Świata Duchów.“*
MARJAN. Raz jeszcze—dla czego?
WALENTY. Nieczytałeś, a przecież tam powiedziano, że *„przeczenie bez dowodów, niedowodzi rozumu“*.
MARJAN. Przyznaję..... tysiące prenumeratorów.... tysiące niestety! *To dopiero dowodzi praktycznego rozumu.*

Dodatek do Nru 9go Opiekuna Domowego 1870 r.

służące—*izolatorami* (*odosobniaczami*). Jednakże warto by dowiedzieć się, jak też ta elektryczność przechodzi na danè ciała, jak się na nich zbiera, czy np. idzie środkiem drutu, czy po jego powierzchni? Weźmy próżną kulę metalową, osadzoną na szklanéj nóżce (*Fig. 2*), str. 84-a i naelektryzujmy ją. Usuńmy przez otwór będący u góry, blaszkę miedzianą, osadzoną na laseczce laku i zbliżmy do elektroskopu. Nie ma elektryczności. Dotknijmy blaszką zewnętrznéj powierzchni kuli—a zaraz co innego:—kulka z rdzenia bzowego została przyciągniętą. Odmieńmy doświadczenie. Mamy przed sobą woreczek muślinowy kształtu szlafmycy, taki jaki do łapania motyli używają, tj. z obrączką (*Fig. 3*).str 85-a Osadzamy ten woreczek na szklannéj pałeczce i elektryzujemy. Na ścianie wewnętrznéj nie ma elektryczności—tylko na zewnętrznéj,—ale kiedy za pomocą nitki, przyczepionéj do wierzchołka, wywiniemy woreczek na wywrót i strona wewnętrzna stanie się zewnętrzną, to na niéj będzie elektryczność—a z przeciwnéj zniknie. Figlarz z téj elektryczności—zawsze chce być na wierzchu, ale dla czego. Dla tego niestety, że musi! Otaczająca ją atmosfera wpływ taki przeważny wywiera. Wspomniałem, że elektryczność jest pewnym stanem ciała, w którym jego cząsteczki wprawiane są w czynność, objawiającą się przyciąganiem i odpychaniem. Między cząsteczkami woreczka a cząsteczkami atmosfery, zachodzi wzajemny stosunek, pozwalający w ten a nie inny sposób zachowywać się—i dla tego elektryczność zbiera się tylko na powierzchni zewnętrznéj danego ciała. Dwa są rodzaje elektryczności—dodatnia i ujemna. Szkło np. ma najczęściéj pierwszy—*lak*, *żywica* zwykle drugi rodzaj elektryczności. Dwa te rodzaje są sobie wprost przeciwne i niszczą się czyli zobojętniają nawzajem. Sprawdzimy to doświadczeniem. Do kulki ze rdzenia bzowego, zawieszonéj na nitce jedwabnéj, przytykamy laskę laku potartą suknem. Ta przyciąga kulkę—a tém samém udziela jéj część swéj elektryczności, następnie zaś odpycha ją od siebie. Dla czego odpycha? Dwa te ciała bowiem mają jednoimienną elektryczność *ujemną*. Toż samo dzieje się z takąż samą drugą kulką, do któréj przytknięto rurkę szkła potartą delikatną skórką. Przybliżmy do siebie obie kulki, one się przyciągną i potém ani jedna ani druga śladu elektryczności posiadać nie będzie. Tu wyjaśnia się fakt przyciągania dodatniéj i ujemnéj elektryczności i zobojęnienia wzajemnego. Elektryczność szkła, udzielona jednéj kulce, przyciągnęła elektryczność laku drugiéj kulki i zobojętniły się one zupełnie.

To prawo równowagi panuje wszechwładnie w całéj naturze, prawu temu ulegamy wszyscy i wszystko. Równowaga, jest to parcie dwóch sił wprost przeciwnych, równych sobie. Szalka, na któréj telerzykach leżą jednakowe ciężary, może nam służyć jako wyrazisty przykład tego stanu. Jednakże przyszłoby komu na myśl, czy elektryczność może działać w pewném oddaleniu,—czy ciało naelektryzowane wywiera wpływ jaki na inne ciała li tylko przez swoją obecność?

Odpowiadamy, że tak jest w istocie. Jak kamień, wyrzucony z procy, spada na dół skutkiem przyciągania ziemi—tak i elektryczność zebrana np. na walcu żelaznym, odosobnionym przez szklane podstawki od ziemi, rozdziela się na dwie swoje części składowe, dodatnią i ujemną, skoro do tego walca przysuniemy kulę, czy to dodatnio czy ujemno naelektryzowaną. Jeżeli dodatnio—wtedy na końcu walca, zbliżonego do kuli, wykażemy zebraną elektryczność ujemną, a to na wyżéj wykazanem prawie — że elektryczności przeciwne—(szkła i laku) przyciągają się wzajemnie, patrz *Fig. 4.* str. 85-a.

Jest to elektryzowanie przez wpływ czyli tak nazwaną przez Faraday'a *influencją*. Przestrzeń, przez którą ciało naelektryzowane może swój wpływ na obojętną elektryczność ciał innych wywierać, jest ograniczoną i różną; w języku naukowym zwie się ona *atmosferą elektryczną*. Zbyt dalekie oddalenie, usuwa wpływ elektryczności,—boć przecie każda siła ma zakres swéj działalności. Kula działowa nie dosięgnie księżyca, świeca łojowa nie oświeci dużego salonu;—każda czynność w ograniczoném mieści się kole. Na szczęście my jesteśmy do tyla potężni,—że mamy rozliczne sposoby rozbudzania elektryczności. Gdzież to się ona nie przejawia? Czeszę grzebieniem moje włosy, włosy powstają i trzeszczą;—głaszczę w ciemności łapiącą myszy faworytkę—z faworytki sypią się iskry;—rąbię cukier, i tam widzę jakieś błyski od tarcia. Mało tego, myślałem, że choć pomarańczę zjem spokojnie— przypadkiem nacisnąłem ją korkiem i tutaj elektryczność i to na korku ujemna (—) a na skórce pomarańczy dodatnia (+). Zirytowany porywam moją chustkę jedwabną—i macham w powietrzu dla odpędzenia złéj mary,—chustka przez tarcie atmosfery elektryzuje się ujemnie. Drę ją ze złości—mnę w ręku—znów elektryczność, bo przypadkiem złożyłem na poprzek dwa kawałki—a nie wiedziałem że dwa kawałki jedwabnéj materji pocierane o siebie elektryzują się. A wieleż to jeszcze innych przykładów. Dwie osoby stoją na izolowanych, t. j. mających szklanne nóżki, stołeczkach. Jedna z nich trzepie drugą po sukniach futerkiem kociem, na trzepanéj zbiera się elektryczność dodatnia, na trzepiącéj ujemna. Drobny deszcz merkurjuszu, padając na suchy walec szklanny, silny prąd powietrza, skierowany na taflę szkła,—gaz wypływający z naczyń—para wodna buchająca z kotła—wszystko to wywołuje stan elektryczny. Według doświadczeń Becquerela, każde ciało przez ściśnienie w stan elektryczny przejść może. Łupiąc spat islandzki, mikę, talk, tłucząc cukier, kredę, w ciemném miejscu widzimy światło;—złamawszy laskę laku na dwoje na każdym odłamku znajdziemy przeciwne elektryczności.

Fizyk *Pouillet*, z niektórych roślin w pełni rozkwitu, otrzymywał maleńkie iskierki; a cóż dopiero mówić o téj chwili, kiedy niebo zasuną chmur kłęby, gdy nawalnica zahuczy, zaszumi i bije grom po gromie—i błyskawica wzrok ślepi—wszędzie jedna siła, jeden ruch materji—a tym ruchem—elektryczność. Ona i na rosie, srebrzącéj łąk zielonych kobierce, ona w mgle sinéj, ona przyczyną, ona niejako twórcą gradu, tych zlodowaciałych cząstek pary, sformowanych w górném przestworzu.

Ale to wszystko dopiero jeden dział zjawisk—to dopiero elektryczność statyczna, elektryczność w spokoju;—pozostaje nam druga, ciekawsza część elektryczności dynamicznéj—czyli w ruchu będącéj. Elektryczność w organizmach zwierzęcych, elektryczność w człowieku—jéj wpływ, jéj działanie dadzą nam obfity materjał. Spór Galvaniego i Volty—tak głośny, tyle dający faktów dla nauki, dziś należy tylko do historji. Nauka posunęła się wiele, ścisła obserwacja odkryła nie jedną tajemnicę, zyskała nieoblliczenie na małém nieznaczącém na pozór zjawisku—jednak przedstawienie pojęć dawnych—porównanie ich z teraźniejszością, nie jest rzeczą obojętną. Człowiek chętnie zwraca się myślą w przeszłość, bo wié, że na jéj popiołami zasypanym kurhanie, legły wielkie imiona, wielkie czyny—co mu obecną przygotowały chwilę. Pozostawiając do przyszłéj pogadanki rozbiór Galvanizmu i Voltaizmu, zakończam te słów kilka o Elektryczności i jéj zjawiskach.

Gustaw Doliński.

OCEANJA.

(Dokończenie czytać Nr. 8-my).

Równik, ta linja naszego globu, odcinająca półkulę nad którą odmienne od tych, jakie nam przyświecają, błyszczą gwiazdy, gdzie pory roku w przeciwnym względem naszych następują porządku, gdzie ziemię zdobią nieznane dla nas rośliny i zamieszkują dziwne zwierzęta i istoty, których kształt zewnętrzny czyni podobnymi do nas; przecina północną część Oceanji (Australji).

Podług najnowszych badań, prawie wszystkie wyspy Oceanji winny istnienie swoje działaniu sił wulkanicznych, które je dźwignęły z głębi Oceanu; widać tu bardzo wiele wygasłych kraterów, gdy tymczasem inne wyrzucają jeszcze potoki lawy i kłęby dymu. Borneo, Celebes, Mindaneo i inne wyspy Filipińskie przedstawiają bazalt, granit i inne skały pierwotne, w pośród których przechodzą bogate żyły złota, srebra, miedzi, nadzwyczajnie piękne kryształy górne, drogie kamienie i rozliczne płody kopalne. Drobnych wysp wybrzeża otaczają ławy koralowe, rozchodzące się częstokroć daleko pod powierzchnią morza i sięgające lądów przeciwnych. Niektórzy znakomici badacze natury, jak Forster, Peron i inni, mniemali, że praca koralowych polipów dokonała budowy największéj części Oceanji; niedawnemi dopiero czasy Quoy i Gaimard dowiedli, iż istoty te żyć nie mogą w tych ogromnych głębiach morza, w których podstawy wysp spoczywają; powstawanie więc ich przypisują siłom wulkanicznym. Nowa Holandja na obszernéj swojéj przestrzeni, przedstawia wielką rozmaitość w składzie geologicznym połączoną z obfitością ciał kopalnych.

Królestwo roślinne rozwija tu całe bogactwo, właściwe Indjom Wschodnim i Zachodnim, powiększone nieznanym przepychem w Azji. Zbyt szczupły jest zakres naszego pisma, iżbyśmy w niém opisać i wymienić mogli, chociaż małą część tych różnorodnych drzew i krzewów, z których korzystają kunszta i rękodzieła,—tych ziół, przynoszących w medycynie pewne lecznicze środki,—tych owoców i korzeni, stanowiących konieczną część przyborów dla wytwornyh europejskich stołów, tę rozmaitość barw i woni kwiatów, jakie, nie mogąc podziwiać w ich rodzinnéj ziemi, pragniemy widzieć w naszych cieplarniach; smutny tu wprawdzie i posępny cień rzucają na cały ten przepych wegetacji, drzewa i zioła, dostarczające najzjadliwszych trucizn, jakich dzicy mieszkańcy dla swojéj obrony i zemsty używać umieją.

Rośliny są podstawą bytu zwierzęcego, obfitość ich prowadzi za sobą rozwój tych ostatnich; prawo to w zupełności potwierdza się w Oceanji; to mnóstwo czworonożnych, ptaków, ryb, gadów i owadów, nieistniejących w innych częściach ziemi, przejmowało pierwszych odkrywców takiém zdziwieniem a często i trwogą, że opisy ich obok prawdy, przepełnione są utworami wybujałéj imaginacji.

Zapytajmy teraz, dla kogo te obfite skarby przez tysiące wieków swą twórczą i hojną dłonią nagromadziła natura? Czy przed przybyciem Europejczyków znajdowały się tu istoty rozumne, umiejące rządzić tém bogactwem płodów, jakie ukrywa tych stron łono ziemi i jakie zdobią jéj powierzchnię? Czy umiejętną i usilną pracą, zdołały sobie przyswoić zasłużoną daninę, jakiéj Stwórca używać dozwala najpierwszéj na ziemi istocie? Na te pytania przygotowały nam odpowiedź mnogie opisy podróży w tych stronach odbytych i smutny los, jaki spotkał wielu śmiałych, niezłomnym hartem duszy uzbrojonych żeglarzy. Byli tu ludzie, gdyż do téj nazwy nadał im prawo kształt, do naszego zbliżony i ślad istnienia téj iskry ducha, którą rozumem zowiemy; lecz jakaż przepaść nieprzejrzana oddziela ich od najniższych nawet warstw towarzyskiego życia, od tych nawet, na które z politowaniem spogląda umysł wsparty naukowém wykształceniem. Ludzie ci, gdy już tak nazywać ich musimy, żyjąc wpośród zwierząt dzikich, dla których natura w saméj ich budowie i w otaczających je płodach dostarczyła środków, do utrzymania ich bytu potrzebnych, zapatrując się na te niższe od siebie istoty, poszli ślepo za przewodnictwem dzikiego instynktu, przywodzącego do milczenia wszelkie objawy rozumu. Utrzymanie życia, jest ich celem jedynym, dla osiągnięcia go nie potrzebną jest tu odzież, nie potrzebnemi wygodnie pobudowane domy, koniecznemi są jedynie pokarmy; wybór w nich łatwy, gdy mu służy za zasadę spożywanie wszystkiego, cokolwiek spożyć się da, co nie zagraża utratą życia lub zdrowia. Dla pierwotnych mieszkańców Oceanji, ich instynkt dziki wskazał na wspaniale rozwijające się wkoło nich owoce roślin, na ptaki i zwierzęta, na ich własne wreszcie istoty. Niepojęty w nas wstręt budząca myśl spożywania ciała ludzkiego, pobudza w owych ludziach uczucie łakomstwa, z jakiém, na bajecznie wytwornych swych biesiadach, zasiadali smakosze starożytnego Rzymu lub Grecji. Słuszne oburzenie i nienawiść dla tych wyspiarzy, budzą w nas ohydne ich uczty, do których najsmaczniejszych kęsków dostarczyły zwłoki żeglarzy, spieszących po za odległe wód przestrzenie, dla zadosyć uczynienia potrzebom cywilizacji i pragnieniom nauki. Wypadków podobnych było tu zbyt wiele od czasu pierwszych odkryć, prawie aż do chwili obecnéj; przerażających tych opisów powtarzać tu nie będziemy, przywiedziemy tu jeden tylko fakt, rzucający światło dosyć jasne na przedmiot, o którym z prawdziwym wstrętem mówimy. W roku 1858 trzymasztowy okręt Ś-ty Paweł odpłynął z Hong-Kong w Chinach, mając 20-tu ludzi osady i 317 Chińczyków, zamówionych do kopania złota w Australji. Statek ten, znękany ciszą morską i zagrożony głodem, dla skrócenia drogi przepływał po za archipelagiem Luizjany i przy wybrzeżach wyspy Rossel rozbił się; rozbitki wszakże z niego zdołali uratować się i dostali się w bród na małą ławę koralową, sąsiednią wyspie; lecz dostrzeżeni przez dzikich z tamtąd zostali zabrani i przewiezieni na wyspę, gdzie okrutną śmierć znaleźli i posłużyli na biesiadę dla nieubłaganych ludożerców.

Trzeba wszakże mieć nadzieję, że zwierzęce te obyczaje wkrótce znikną i w téj najodleglejszéj od nas części ziemi. Światło Chrystjanizmu z każdym dniem coraz daléj blask swój tu rozszerza, przed niém łagodnieją rozkiełznane namiętności, z niém wspólnie i zgodnie posuwa się cywilizacja europejska: jedne z tych barbarzyńskich ludów poddają im się z chęcią i pokorą, inne, ceniąc dziką swą wolność wyżéj nad wszystkie przyjemności towarzyskiego życia, cofają się od powstających tu kolonji i miast, w głąb' niedostępnych lasów, gdzie rozproszeni w małych osadkach, bezprzestanne z sobą wiodą walki, osłabiają się i niszczą wzajemnie i podobno nie długo nadejdzie chwila, w któréj byt ich zniknie zupełnie.

Nie upłynęło jeszcze sto lat od śmierci sławnego Cooka, nie duży to przeciąg czasu w historji ucywilizowanych krajów, tu jednakże jestto wielki okres dziejowy, w ciągu którego wytrwała praca Europejczyków dokazała cudownych prawie zmian. Jakby czarodziejską siłą powstają tu coraz nowe kolonje, wznoszą się bogate i ludne miasta, w których rozwija się i wzrasta z dniem każdym handel, przemysł, kunszta i rękodzieła.

Nie jeden z przybywających tu w dzisiejszych czasach podróżnych, wysiadłszy w portowém mieście, rozglądając się po niém, nie może wyjść z podziwienia, gdy zamiast nędznéj, z drewniannych chat złożonéj mieściny, jaką sobie w ciągu długotrwałéj podróży wyobrażał, widzi wspaniały gród, w którego przystani stoi mnóstwo okrętów, a wyżéj nad nią wznoszą się wyniosłe szczyty kościołów, gmachów władz rządowych, pałaców, fabryk, domów wytwornych

i drobnych zabudowań; słowem, wszystko przedstawia mu się w tenże sam sposób, jak w miastach jego rodzinnego kraju. Takiém jest Melbourne na wybrzeżu Australji, téj wielkiéj wyspy, któréj rozległość wyrównywa $4/5$ Europy, założone w roku 1837 nad rzeką Yarra-Yarra, liczące 300,000 ludności. Jeden z podróżnych mówi o niém: „Zaledwie wierzyłem własnym oczom, patrząc na te szerokie pod sznur wyprowadzone ulice i piękne gmachy, na których było wypisane wielkiemi literami: Instytut politechniczny, Teatr, Zgromadzenie prawodawcze, Uniwersytet i t. d. — Również piękne i bogate jest Sidnej, nad zatoką morską w bardzo dogodném i miłém dla oka położeniu,—zaczynająca się wznosić Adelajda i inne. Na wyspach Nowéj Zelandji: Aukland i Dunedin. Wiele możnaby wyliczyć miast większych i mniejszych, z różnych względów zasługujących na uwagę, wiele wypadałoby powiedzieć o téj nowéj ziemi, wabiącéj do siebie ludzi czynnych i przedsiębierczych, dla których grunt urodzajny i z młodzieńczą siłą rozwijający się przemysł i handel, obfite i pewne obiecują korzyści.

Ale podobno, chwilka wolnego czasu, w któréj założyliśmy sobie rzucić okiem na nieznane nam kraje, zaczyna już od nas odbiegać, a poczucie obowiązku do zwykłéj woła nas pracy.

Lublin d. 15 Lutego 1870 r.

K. Milkuszyc.

Wiadomości Techniczne.

— **Ulepszone bielenie kapeluszy słomianych.** Pytany przez jednych o bielenie szczeci i brudnego włosienia, przez innych o czyszczenie zżółkłéj wełny, a przez innych jeszcze o sposoby uniknienia różnych szkód w bieleniu przedmiotów słomkowych, myślę, iż pożytecznym będzie opis ulepszonego bielenia gazem siarkawym.

Jedne farbniki organiczne tracą swój kolor pod wpływem chloru i stają się następnie rozpuszczalnemi w wodzie, inne doznają téj zmiany od tego gazu, który się nazywa kwasem siarkawym lub gazem siarkawym. Żółty i zielonkowaty farbnik słomy, żółtawy farbnik włosienia, szczeci i zżółkłéj wełny, włóczki lub sukna, traci swój kolor pod wpływem gazu siarkawego.

Gaz siarkawy jest bezbarwny, zatém niewidzialny. Woń jego jest ostra, bardzo przykra. Wzionięty sprawia kaszel, chrypkę i uczucie, trwające parę dni, przykréj oschłości w naczyniach oddechowych. W wodzie rozpuszcza się dobrze, ale wodny jego rozczyn psuje się od powietrza, bo kwas siarkawy rozpuszczony w wodzie, zamienia się powoli w kwas siarczany. Zmiana ta zachodzi szybko przy pośrednictwie ciał mocno dziurkowatych, n. p. płótna. Kwas siarczany, chociażby rozwodniony, działa niszcząco na włókno roślinne i zwierzęce. Słoma namoczona dla wybielenia w wodnym rozczynie gazu siarkawego i nie wymyta wodą starannie z tego gazu kruszeje, bo wsiąkły w słomę wilgotny kwas siarkawy, zamienia się powoli od powietrza w kwas siarczany. Od sody, potażu, amonji, wody wapiennéj, krédy w wodzie rozmąconéj lub innego węglanu wapowego zostaje kwas siarkawy pochłonięty i zobojętniony, a powstała sól nazywa się siarkanem obojętnym, jeżeli nie działa kwaśno. W przeciwnym przypadku nazywa się siarkanem kwaśnym. Bielące własności siarkanu obojętnego są bardzo słabe, jeżeli żadnym kwasem zaprawiony nie zostanie. Siarkany kwaśne działają mocno bieląco. Mydło rozkłada się od kwasu siarkowego i traci swój kwas tłuszczowy.

Kwas siarkawy można dwojakim sposobem otrzymać, mianowicie przez spalenie siarki powietrzem, albo przez gotowanie kwasu siarczanego z węglem albo z trocinami.

Kto tylko umié korzystać z objaśnień naukowych, temu powyższe objaśnienie, lepiéj niżeli recepty do siarkującego bielenia posłuży. Ze względu wszakże, iż mało ludzi samodzielnie myśleć lubi, powiem, który sposób bielenia gazem siarkawym jest dobry i jakie są wady innych sposobów.

Przedmiot, mający być bielonym, powinien być najprzód, bez względu czy jest nowy, czy używany, czysty, czy brudny, mydłem nieżywicznem i wodą ciepłą wymyty. Przedmioty słomkowe, na których od wilgoci powstały kropki ciemne i plamy, moczy się następnie przez dwie godzin w wodzie zaprawionéj kwasem szczawiowym, po niemiecku (Kleesäure, albo Oxalsäure). Następnie płucze się ługiem sodowym bardzo słabym, ukazującym 1^0 na ługomierzu Beaume'go.

Tak przysposobione przedmioty można siarkować trojakim sposobem, mianowicie odosobnionym gazem siarkowym, rozczynem wodnym siarkanu, lub mydłem siarkawem.

Pierwszy sposób bielenia, odosobnionym gazem siarkawym, jest najmniéj dogodny. Paląc siarkę pod mokrym przedmiotem, który ma być bielony, zużywa się daremnie dużo siarki i powstającego z niéj gazu. Powtóre trudno jest gazem tak kierować, aby nie być wystawionym na jego działanie. Przy tym sposobie postępowania nie możnaby często i długo zajmować się bieleniem słomy, włósienia, pęcherzy, kleju i t. d.

Daleko lepszém od poprzedniego jest bielenie wodnym rozczynem siarkanu sodowego. W tym celu zanurza się przedmiot, mający być wybielony, w wodnym rozczynie obojętnego siarkanu sodowego i utrzymuje go w nim przez godzinę. Następnie dolewa się kroplami mocno rozwodnionego kwasu solnego, np. kwasu dymiącego, do którego dodano 15-sto krotną ilość jego wagi wody, i wyciera szczotką przedmiot poddany bieleniu. Po upływie kilkunastu minut jest bielenie skończone i potrzeba starannego wymycia z kwasu wielką ilością gorącéj wody.

W trzecim sposobie bielenia używa się dwóch kąpieli: pierwsza nazywa się kąpielą mydła bielącego, drugą stanowi mocno rozwodniony kwas solny. Mydło bielące jest mięszaniną czterech części białego, żadnemi pachnidłami, ani obcemi ciałami nie zaprawionego mydła sodowego z jedną częścią obojętnego, albo lepiej słabo kwaśnego siarkanu sodowego. Mięszanina ta, jeżeli ma służyć na zapas, zostaje za pomocą małéj ilości wody w gałki lub inne bryły urobiona i sposobem używanym do suszenia mydła wysuszona. Przy użyciu jéj do bielenia zaprawia się ją 10 krotną ilością gorącéj wody i dodaje, gdy trochę ostygnie, małą ilość amonji, np. $1/25$ część wagi użytéj wody. W téj kąpieli zostawia się przedmiot przez pół godziny i przenosi z niéj następnie na tyleż czasu do wody, zaprawionéj kwasem solnym i płucze nakoniec wielką ilością czystéj wody ciepłéj.

Przedmioty, które na formie tylko prane być mogą, płucze się przez pocieranie szczotką lub gąbką.

Na przedmiocie, niedostatecznie z mydła wymytym, powstają plamki lub kropki białe, które oddalić trzeba słabą amonją lub słabym ługiem sodowym. Niedbałość w wymyciu z kwasu ciągnie za sobą kruchość i nagłe psucie się bielonego przedmiotu.

Ostatnią apreturę nadaje się przedmiotom słomkowym przez zwilżenie ich gąbką, napojoną ciepłym rozczynem białego kleju, ałunu i mydła białego oraz prasowanie ich przez papier żelazem gorącém, dokąd są wilgotne.

J. B. Rogojski.

ROZMAITOŚCI.

— **Teatr letni w Warszawie.** Niektóre z naszych pism czasowych, podały przed kilkunastu dniami wiadomość

o wznieść się mającym w Ogrodzie Saskim teatrze letnim, a podały ją, zachwycając się w szczegółach, bo w drobiazgowych nawet opisach, nad jego strukturą i dogodnościami, jakie nasza, pragnąca dramatycznych widowisk, publiczność w nim znajdzie. Pisma te zapowiedziały nietylko wykończenie ale i otwarcie téj budowli na miesiąc Maj r. b.

Że budowla, o któréj mowa, rzeczywiście wzniesioną będzie w Ogrodzie Saskim i na czas powyżéj oznaczony, to nie ulega, zdaje się, żadnéj wątpliwości; ale czujemy się w obowiązku uprzedzić naszych czytelników: iż nie jest bynajmniéj zamiarem Zarządu Teatrów budowanie w Warszawie oddzielnego stałego teatru letniego. Gmach bowiem, mieszczący w sobie dotąd Teatr Wielki i Teatr Rozmaitości, wystarcza jeszcze zupełnie potrzebom naszego miasta, którego mieszkańcy, mimo znakomicie w porze letniéj podniesionéj temperatury, nigdy nie zaniedbują sceny tak dalece, ażeby dla tego jedynie powodu potrzeba było uciekać się do zaradzenia téj chwilowéj dla nich niedogodności. Zresztą, wieleż to lato nie przynosi z sobą innych, właściwych téj porze rozrywek? Wieluż to mieszkańców nie opuszcza wtedy naszego grodu, by pozostali, prawdziwi zwolennicy widowisk dramatycznych nie mogli swobodnie i dosyć wygodnie korzystać z obu dotychczasowych teatrów?... Z uwagi wszakże, że teraźniejszy gmach teatralny ważnéj i gruntownéj potrzebuje restauracji, która z wiosną r. b. rozpoczętą będzie i niezawodnie przez kilka miesięcy się przeciągnie, Zarząd teatralny, pragnąc, ażeby i przez ten czas publiczność nie była pozbawioną widowisk, powziął zamiar wystawić *czasowo* w Ogrodzie Saskim budynek drewniany, nakształt zwyczajnych cyrków, mogący pomieścić przeszło tysiąc osób, po cenach znakomicie obniżonych. Celem Zarządu jest osiągnienie jak największéj oszczędności w wystawieniu tego czasowego teatru, a zarazem, obok zadosyć uczynienia wszelkim warunkom estetyki, tak pod względem wewnętrznego urządzenia, jako i architektury, postanowił także dogodzić i słusznym wymaganiom publiczności, pod względem jak najwygodniejszego jéj pomieszczenia.

Będziemy więc mieli teatr letni na rok bieżący, lecz ani tak obszerny, ani tak okazały, jak pierwotnie mniemano. Nie podajemy tutaj ani jego rozkładu, ani ceny miejsc, bo pierwszy może w ciągu budowy uledz rozmaitym jeszcze przemianom, a drugie będą w swoim czasie przez afisze ogłoszone.

— **Nowe dzieła. G.** *Opisy i przygody z podróży po różnych częściach świata*, zebrał i ułożył Władysław Anczyc. Tom I, z 6-ma rycinami, Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa 1868 r. Cena rs. 1 kop. 50. Książka ta wydrukowana na pięknym welinowym papierze, treścią swą przeznaczona dla doroślejszych dzieci, np. od lat 12—16, ma tę zaletę, że i przez starsze osoby może być chętnie czytaną. Zawiera bowiem w sobie, zabrane z rozmaitych zagranicznych opisów, ciekawe zdarzenia podróżników, malujące nam niektóre nadzwyczajne wypadki i obyczaje w Europie, Azji, Afryce, Ameryce i Australji. Do prawdziwie zaciekawiających opisów należą: *Karczma w stepie*, *Bonz w klatce*, *Ludożercy na wyspach Sundzkich*, *Krew za krew*, *Polowanie na lwa*, *Stracona czata*, *Gwardja czworonożna*, *Wyspa pływająca*, *Niewolnicy w Brazylji i Przygody majora Huxion* w Australji. Ryciny są ołówka H. Pillatego, odbite kolorowo w Zakładzie litograficznym M. Fajansa. Śmiało więc możemy ją polecić naszym czytelnikom, jako dziełko bardzo pożyteczne dla dorastającéj dziatwy, a mające być nagrodą w szkołach, lub też podarkiem na imieniny albo na gwiazdkę.

— **Teatr.** „*Partja pikiety.*" *Komedja w 1 akcie pp. Bayard i Cornu, tłómaczona z francuzkiego.* Niedawno pisma codzienne doniosły o powrocie p. Rapackiego do Warszawy i o stałém zaliczeniu tego artysty w poczet artystów tutejszych teatrów. Miłośnicy sceny mieli już sposobność przekonać się, jak jest wysoka skala talentu byłego Krakowskiego artysty, i jaką podporą i chlubą stać się on może dla każdéj sceny, dbającéj o dobro sztuki i... o dobro kassy...

W dniu 21 Lutego r. b. przy zapełnionéj sali teatralnéj, wystąpił p. Rapacki w komedji jednoaktowéj z francuzkiego tłómaczonéj p. t. „Partja pikiety," po raz pierwszy u nas przedstawionéj. Właściwie mówiąc „Partja pikiety" nie jest komedją, lecz bardzo wdzięcznym obrazkiem dramatycznym, skreślonym ręką pewną i wprawną, z humorem, z ową wybitną werwą i dowcipem francuzkim, któremu, jeżeli kiedy braknie czego, to zapewne nie oryginalności.

Bogaty mieszczanin i dorobkowicz, Mercier (p. Ostrowski) posiada obok swojego majątku, większy nierównie skarb, bo piękną, młodą i—naturalnie, posażną córkę Rozalję (panna Żółkowska). W téj córce kocha się Anatol (pan Kwieciński), nowo kreowany doktor medycyny, posiadając zupełną wzajemność panny i zezwolenie jéj ojca. Anatol jest synem barona (p. Rapacki), który straciwszy cały swój majątek, po wielu trudach, jak się dowiadujemy z osnowy sztuki, przyjął mieszkanie wraz z synem u pana Mercier, który témbardziéj poczytywał sobie za obowiązek podać z całą delikatnością rękę zrujnowanemu baronowi, ile, że ten ostatni, czy też ktoś z jego krewnych, wyświadczył panu Mercier, czy komuś z jego rodziny, wielką przysługę. Przy takim stanie rzeczy, zdawałoby się, że nic nie przeszkadza połączeniu węzłem małżeńskim dwóch młodych kochanków, témbardziéj, że i baron chętnie na ten związek zezwala i nie ma nic przeciwko zawarciu małżeństwa. Ale baron pomimo ubóstwa jest dumnym arystokratą i tak dalece wysoko ceni swoją godność, że w ciągłych stosunkach sąsiedzkich, pomimo całéj względności pana Mercier, ta duma uczuć się mu boleśnie niejednokrotnie dała, tembardziéj, że ex-sukiennik zacny, poczciwy, a przytém dość gwałtownego charakteru, nie mógł obojętnie przyjmować tych arystokratycznych „fum," jak je sam nazywa. Kiedy już więc zadecydowane było małżeństwo młodych ludzi, ojcowie, oczekując na notarjusza, siadają do partji pikiety, do któréj obadwa mieli namiętność. Przy kartach wszczyna się kłótnia, która przy zobopólném zapomnieniu, posuwa się tak daleko, że małżeństwo dzieci zostaje zerwane, a stary baron przygnębiony, lecz z podniesioném czołem, zabiera swoje manatki i wraz z synem ma się przenosić do hotelu. Mercier pierwszy pożałował swego uniesienia, razem więc z córką i Anatolem radzą, jak złe odwrócić, gdy ten ostatni wpada na szczęśliwą myśl, rozkazuje wszystkim wyjść z pokoju i ojca swego, barona, który rzeczy zniósł z góry i ma czekać na dorożkę, sadza dla wypoczynku na fotelu, umyślnie obciera mu twarz chustką, na którą napuścił chloroformu i tym sposobem usypia go. Wówczas wszystko przygotowują, jak było przed tém. Mercier siada naprzeciw barona z kartami w ręku, rzeczy i książki odnoszą się napowrót. Baron się budzi i w obec dotykalnych dowodów, pomimo całego niedowierzania, uwierzyć w końcu musiał, że mu się wszystko śniło tylko. Komedja, naturalnie kończy się małżeństwem i zgodą.

Komedję tę mieliśmy sposobność widzieć na jednéj ze scen paryzkich i wyznajemy, nie powodowani żadnym patrjotyzmem, lecz zupełną bezstronnością, że gdyby tylko tłómaczenie, które jest słabe, nie psuło do pewnego stopnia harmonji artystycznéj, przedstawienie téj małostki dramatycznéj na naszéj scenie, wydało się nam nierównie lepszém dlatego, że dwie główne postacie, mocno zarywające na prawdziwe typy, znalazły wybornych wykonawców w panu Rapackim i w panu Ostrowskim, czego właśnie brakowało francuzkim artystom. *M. Dzikowski.*

☞ Do tego N-ru dołącza się „*Cennik nakładów książkowych*" **S. H. Merzbacha z Warszawy.**

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Za pozwol. Cenzury Rządowéj.—Redaktor: Oskar Stanisławski.